

Kronika tygodniowa.

Ani nawet nie przypuszczałem, że święty Mikołaj tak się z nami łaskawie obejdzie. O mnie wprawdzie zapomnieli, ale nie mam doń o to żadnej urazy, bo trudno myśleć *de privatis* skoro sprawy ogólne każdego dziś głównie zajmują. Tego samego zdania był widocznie i święty dobrodziej, skoro mnie nie przyniósł, natomiast bardzo grzecznie obszedł się z moimi centralnymi i obdarował je Bukaresztem. Prezencik to bardzo sympatyczny, przyjęty też z należytą wdzięcznością. Widocznie święty Mikołaj, którego dotąd Moskale uważali za swego szczególniejszego opiekuna i patrona, chciał w ten sposób zadokumentować, że nie podoba mu się polityka, jaką prowadzą jego pupile, że zrywa z nimi i przenosi swe sympatyje na stronę przeciwną.

Zajęcie Bukaresztu przez armię generała Mackensena było faktem o pierwszorzędnej znaczeniu, obchodziliśmy je też uroczysto i z radością, na jaką pozwalała żaloba. Jakie miny natomiast mieli politycy z nad Tamizy, Newy i Sekwany, gdy wiadomość ta do nich dotarła, wyobrażam sobie, wiem też, że teraz jeden na drugiego spędza winę i pociesza Rumunię, iż Fortuna odwróci się jeszcze w jej stronę weselszą twarzą. Sierdzą się też Moskale, że Synod prawosławny zdegradował za tak paskudny postępek świętego Mikołaja i odkomenderuje go „w senatory”. Pan ober-prokurator św. Synodu przygotowuje już akt oskarżenia, który, po zatwierdzeniu przez cara, stanie się prawomocnym.

Rumunia otrzymała więc początek nagrody za swą zdradę, dalszy ciąg niebawem nastąpi. Król Ferdynand jest zrozpaczony i od czasu do czasu grozi dymisją, pan Bratianu zbiera ze wszech stron gratulacje, gdyż klęska Rumunii, to tylko owoc jego rusefilskiej polityki. Gdybym był owym nieszczęśliwym Ferdynandem i miał takiego, jak Bratianu, mądrego doradcę, kazałbym mu wypisać nahałem dekret uznania na jego własnym pergaminie. Tego rodzaju *Signum laudis* pamiętałby długo i z pewnością wyrzekłby się raz na zawsze polityki, jak bowiem z tego widać, to nie jest jego fach. On nie majster, ale bylejaki fuszer.

Szanse koalicji uległy więc zmianie. Następstwem niepowodzenia na polu walki są rekonstrukcje gabinetów w różnych państwach i powołanie nowych mężów stanu, którzy mają złe naprawić. W razie abdykacji króla Ferdynanda, konkurs na posadę króla rumuńskiego rozpisany zostanie niebawem, by następca miał czas przygotować się do zapowiedzianej ofensywy wiosennej. Koalicja nie traci ciągle nadziei, że będzie lepiej i próbuje w różnych porach ofensyw. Zawiodła zimowa, może uda się wiosenna, letnia lub jesienna.

W każdym razie czwórporozumienie ma bardzo rzadkie miny, bo każdy przyzna, tego rodzaju „gwiazdka” nie jest wcale miłą, ani pożądaną, choć być może, będzie mieć tę dobrą stronę, iż wojna skończy się prędzej, a następnie raz przecież ów upragniony pokój, do którego tak wzdychamy, a doczekać go się nie możemy. Święta Bożego Narodzenia, które są już za pasem, spędzimy jeszcze wśród wojennych odgłosów, nic też dziwnego, że przygotowania do nich ograniczone są u nas do *minimum*. W miarę przecież, jak się zbliżają „ogonki” przed sklepami wydłużają się coraz bardziej, zwłaszcza popyt za cukrem staje się coraz większy, widocznie ludziska chcieliby sobie osłodzić swą gorzką dolę. Mąka jest również poszukiwaną i dochodzi cen bajonowych, co będzie z rybkami na wigilię, dotąd jeszcze nie wiemy. Ze względu na ciężkie czasy postanowiłem w roku bieżącym ograniczyć się na śledziu, ale i on, choć połowy podobno dopisały, podskoczył też w cenie. Za te pieniądze, które dziś płacić się musi za zwykłego neutralnego śledzia, można było dawniej nabyć średniej wielkości wieloryba.

Po inne lata odbywały się o tym czasie rozmaite loterie fantowe i wenty na cel dobroczynny, mógł więc człowiek, o ile miał znajomą którąś z pań komitetowych, wygrać za szóstkę zgasł go na uwiad starczy zająca, lub pularę, której suchoty przecięły nie żywota, nie mówiąc już o znakomitych trunkach wyrobu krajowego (n. p. wytrawny węgrzyn...). Dziś tego wszystkiego niema, loterie skasowano zupełnie, nad czym boleją znów serdecznie wszyscy ci, którzy, biorąc udział w pracach komitetów, poświęcali się dla dobra ogółu i w ten sposób, nie narażając się na wydatki, ocierali łzy nieszczęśliwym. Sami przytem wychodzili nie najgorzej, wiadomo bowiem rzecz, że najpiękniejsze fanty dostawały się z zasady im i ich znajomym. Ale tak być powinno. Poświęcenie

się dla dobra ogółu i strata czasu musi być przecież wynagrodzona.

Wobec więc ogólnej sytuacji, święta Bożego Narodzenia będą jeszcze cichsze, niż w ubiegłym roku. Niechajby bodaj pogoda dopisała, by człek mógł wyjść gdzieś na przechadzkę, naturalnie zaopatrzony w ową różdżkę czarodziejską, której wychylenie wskazywałoby, kogo odwiedzić, gdyż przygotowanym jest na przyjęcie znajomych i przyjaciół. To tylko bieda, że, jak uczeni powiadają, nie każdy osobnik posiada odpowiednią ilość tajemniczego fluidu, czyli, innymi mówiąc słowy, nie każdy jest jednako dobrym medyum. Staropolska gościnność pomimo wojny chyba zupełnie nie wygasła, iestem też przekonany, że tu i ówdzie będzie się można spotkać z gorącym przyjęciem i bodajby tylko zimnymi przekąskami. Wina w każdym razie będzie mało, a powodem tego niedomaganie miejskiego wodociągu, które się musi odbić ujemnie na jego produkcji. Byłbym zdania, że magistrat, by wynagrodzić naszą lojalność, z jaką się do jego wszelkich zarządzeń odnosimy, powinien w wojennych kuchniach urządzić bezpłatne wyżywienie z wypitką dla obywateli bez różnicy wyznania politycznego. Byłby to pewien rodzaj kiełbasy wyborczej, zadatek na przyszłość. Na pierwszy dzień Świąt, to jest na poniedziałek, powinien także odwołanym być zakaz spożywania mięsa, jakże się bowiem weselić, gdy „maciek” mruczy z głodu. A wiadomo ze słów Pisma św., iż nie samym tylko chlebem człek żyje, przynajmniej żyć powinien. Do chleba (którego także brak!) potrzeba jeszcze coś dodać, inaczej nie wiedziałoby się nawet, że to święta!

Domowe czynności, jakie połączone są z tym okresem czasu, przeważnie już załatwiłem. Firanki już zdjęte, są w praniu, odpadło natomiast wiercenie maku, obieranie migdałów i rodzynek i tym podobne gospodarskie zajęcia. Jak się wyżej powiedziało, we wigilię śledzik i wspomnienie dawnych, lepszych czasów, w oba dni świetlane zdanie się na łaskę i niełaskę znajomych, przyjaciół i zwolenników.

Zapytywano mnie z różnych stron, kiedy w bieżącym roku należy obchodzić wieczór wigilijny, w sobotę, czy w niedzielę, na ten ostatni dzień przeznaczają ją bowiem kalendarze. Zastanawiałem się nad tem długo i szeroko, zasięgałem zdania mężów uczonych, wertowałem nawet księgi Ojców Kościoła i doszedłem do przekonania, że tradycyjną ucztę urządzić się powinno w niedzielę wieczór. Kogo stać na to, niech robi w sobotę, a powtórzy w niedzielę, uważając przecież, by nie zgrzeszył obżarstwem, co pociągnęłoby za sobą bardzo przykre następstwa. Solamiłby duszę i osłabił ciało, a wiadomo, że o *antidotum* na to osłabienie pod postacią oleju rycynowego teraz bardzo trudno. Tak popularny niegdyś środek ludowy, dostępny jest dziś tylko dla kamieniczników, dostawców i innych milionerów.

Wyczerpawszy po części temat świąteczny, wracam jeszcze raz do świętego Mikołaja, dając teraz pierwszeństwo sprawom prywatnym, a kantem puszczając publiczne. Zauważyłem więc w wigilię jego imienin, iż Krakowianie mają jeszcze pieniądze. Każdy ojciec rodziny (z małymi wyjątkami) wracał wieczorem do domu objuczony różnego rodzaju pakietami, a sam na własne oczy widziałem na Rynku przed Piaseckim taki „ogon”, jakiego nie powstydziłaby się i kometa Halleya. Wszedłem i ja na chwilę w jego skład, zrezygnowałem przecież rychło z osłodzenia sobie i Weronisi gorzkiej doli. Jakoś wytłumaczyłem swe przybycie do domu z próżnemi rękami (zwłaszcza, że i kieszeń była w tym samym stanie!), raczyła tłumaczenie przyjąć do łaskawej wiadomości i oświadczyła, że to może i lepiej, mógłbym się bowiem zaziębić i zakatarzyć, a ona nie chce mieć „skrzypiącego” małżonka. Tak nazywa ludzi kaszlących i kichających.

Co do owych „ogonków” przedsklepowych to pozwoliłbym sobie zrobić uwagę, że publiczność, czekając na swą kolej, należałoby w ten sposób ustawić, by pary były naprawdę parami, to jest, by każda składała się z jednego osobnika płci męskiej, drugiego żeńskiej. Kto wie, czy w ten sposób nie wpłynęłoby się dodatnio na kójarzenie się par, na co władze powinny już dziś zwrócić baczną uwagę. Płci nadobnej mamy moc, z pomiędzy przedstawicieli tak zwanej brzydkiej wielu legło na polu walki, wielu też stało się niezdolnymi do służby małżeńskiej, tych więc, którzy zostali, należy zachęcić, by spieszyli w słodkie węzły hymenu. A „ogonek” przed sklepem z cukrem właśnie do tego się nadaje, można tutaj, czekać kilka godzin, robić słodkie oczy, prowadzić słodką rozmowę i poznać się nawzajem dokładnie. Władza porządkująca „ogonki”, powinna wydać odpowiednie pouczenie dla swych funkcjonariuszy, zwłaszcza, że liczba i długość ich (ogonków, nie funkcjonariuszy!) zwiększy się, gdy zaprowa-

zione zostaną karty na herbatę, potem podobno na węgle, drzewo, naftę, mięso i jaja.

Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym nie wspomnieli bodaj kilku słów o podarunku, jaki na świętego Mikołaja otrzymałem, wprawdzie nie od świętego Biskupa, lecz od jednej z Czytelniczek. Ofiarowała mi różgę, na której umieszczoną była podobizna grzyba, o ile mi się zdaje, muchomora i mały Mikołajek. Różga była potężna, Mikołajek mały, byłbym bardziej zadowolony, gdyby rzecz miała się odwrotnie. Czy ów grzyb-muchomor miał być aluzją do mego wieku, czy też do mego miłego usposobienia, dotąd nie zbadałem i, przyznam się szczerze, wolę tego dalej nie badać... I uni Czytelnicy zapomnieli o mnie, pocieszam się przecież nadzieją, że może poprawią się, gdy nadejdzie „gwiazdka”. Jeśli nie, powiem, że społeczeństwo jest niewdzięczne, złamię pióro kronikarskie i zajmę się sprzedażą pieczonych kasztanów. Zagrzeję w ten sposób ludzkie żołądki, gdy nie potrafił zapalić ich serc... Wówczas prędzej zdobyję sobie uznanie niż dziś, gdy staram się karmić ich idealami, radzić, pouczać, czasem także wytknąć coś, co powinno być usuniętem. O to gniewać się na mnie nie powinni, jeśli bowiem czasem gryzę, to gryzę sercem, bo zębów już nie mam, a nie stać mnie na wprawienie nowych. Ze zaś niektóre moje wytknięcia są zupełnie uzasadnione i na czasie, najlepszym dowodem przywrócenie tramwajowych kupłówek w soboty i święta żydowskie, bezpośrednio po wzmiance o tem w kronice, obecnie zaś rozporządzenie policyi w sprawie chodzenia lewą stroną chodnika.

Ale... bo i tu bez „ale” się nie obejdzie. Pewna niewiasta zgniewała się na kronikarza właśnie za to, iż zamieścił ową wzmiankę o chodzeniu lewą stroną, władza bowiem wezwwała ją, by przeszła na lewą stronę z prawej, a ona akurat na prawej stronie linii A—B miała w tym czasie wyznaczoną randkę. Ponieważ władza na seryo starała się zaprowadzić porządek, zrobił się nieporządek i zamieszanie, obydwój „schadzkowcy” nie spotkali się już tego wieczoru i jedno drugie posądza o niedotrzymanie słowa, a może i niewierność.

— Panie! — mówiła do mnie owa niewiasta — Jeśli przez pana moje małżeństwo spełźnie na niczem, zwracam pańską uwagę, iż będzie pan zobowiązany przyjąć na siebie wszelkie dalsze konsekwencje... W przeciwnym razie zwrócę się na drogę sądową!...

Tak mnie to ubodło do żywego, iż postanowiłem odtąd ani pisać, choćby ludzie chodzili nie tylko prawą stroną, ale nawet po dachach i na głowach... (byłby to ładny widok!... przyp. zecera)... zwłaszcza, że i pewien teolog, biegły w Piśmie św., przekonuje mnie, iż tylko prawa droga jest najlepszą i jedyną do celu prowadzącą. Odpowiedziałem mu, że często się zdarza, iż przepisy świeckie nie zgadzają się z kościelnymi, jak to właśnie ma miejsce w tym wypadku. W tej kwestii interpelowałem mnie także pewien młody człowiek, zapytując, jak mogę doradzać ludziom, by chodzili na lewo, gdy on już od trzech półrocz zapisany jest na prawo.

— Niech tylko skończy prawa — rzekł z godnością — i zostanie starostą, a potem namiestnikiem, postaram się zaraz, by zniesiono tego rodzaju rozporządzenie, które ludzi w błąd wprowadza. Mama i ciocia mówią: „Idź na prawo!” policja powiada: „Idź na lewo!”... I kogo mam słuchać, sam teraz nie wiem!...

Teraz wyrzucam sobie, że prawdopodobnie także ja winę ponoszę, iż lokale publiczne mają być zamknięte najdalej o godzinie jedenastej w nocy i to aż do dnia 30. kwietnia, czyli do czasu nastania tak zwanej wojennej pory letniej, kiedy to ósma jest o siódmej i człek nie może się przyzwyczaić, o jakiej porze iść do biura, a o jakiej wracać.

Otóż, ponieważ nieraz w kronice o tem wspominałem, iż porządny obywatel tyle ma frajdy, co się przy bombinie nagada w swej ulubionej knajpcie, dziś żałuję tego, wywołałem bowiem wilka z lasu. Jak piorun z jasnego nieba, spada wieść, że już o jedenastej ma każdy spieszyć do domu. Zakaz ten rzekomo spowodowany został względami oszczędności na opale i oświetleniu, ja tam przecież jestem prawie pewny, że nasze żony, podrażnione memi kronikarskimi wzmiankami, o to się postarały.

Halodont